



EUGENIUSZ MORSKI

Górnikom



Trudno co dzień zjeżdżać w mroczną głębie,
korzeniami życia w ziemię wrastać,
by w olbrzymim krystalicznym zrebie
słone, lśniące wybudować miasto.

Tam biel sypka ma kolory zmroku,
— ludzkie ciała i kamienne zwały,
tam czas stanął, nie ma tam pór roku,
dni i noce razem się zmieszały.

Dzwonią dzwonki windy sygnałowe,
ciągną liny sznury wagoników,
i jak gwiazdy lampki karbidowe
w wąską głęb staczają się chodników.

Każdy z was z kilofem, świdrem w dłoni,
lub u szpul lejących w sól zgarniaczy,
tak, jak żołnierz wiecznie trwa pod bronią
eksplozjami min swe przejście znacząc.

Lecz dynamit tutaj nie rujnuje,
— wy żołnierze miasta bez mieszkańców
przepych skał burzycie, wciąż budując
socjalizmu niebotyczne szanice.

Z tych bezcennych skarbów — posiew głodnym,
wzrost produkcji, więcej, więcej, więcej —
i dlatego w godle waszym jodła
chwyta niebo w swe zielone ręce.

Na południe, północ, wschód i zachód
imię pracy w nową rośnie wieczność
i notują strzałki sejsmografów
coraz wyżej drganie serc człowieczych.

Piękno starego Gdańska

Piękno starego Gdańska zostanie przywrócone w całej pełni. Takie postanowienia zapadły na Zjeździe Ogólnopolskim Konserwatorów w jesieni ubiegłego roku. Posuwają się naprzód prace około najważniejszych zabytków, zarówno kościelnych jak świeckich, inne — chwilowo zabezpieczone — oczekują swojej kolei. Odręstaurowano i oddano do użytku Kaplicę Królewską z końca XVII wieku, fundacji króla Jana Sobieskiego. Jest to małe cacko barokowe, wznoszące się na tle olbrzymiego gotyku N. Panny Marii, największego kościoła w Polsce. Jeszcze w zeszłym roku, szerokie, nie pokryte dachem nawy z filarami strzelającymi w otwartą przestrzeń nieba napełniały zwiedzającego jakimś niesamowitym uczuciem grozy i lęku, podkreślonego realnie odgłosem spadającej cegły przy łada podmuchu wiatru.

Dziś wiele się zmieniło, można bez obawy posuwać się nawami kościoła, filary zaś nabierają znowu logiki, kiedy podtrzymują sklepienie.

W chwili obecnej trwają roboty przy Wieży Więziennej, która wraz z Katedrą i Bramą Wyżynną otwierają tzw. Drogę Królewską. Mimo woli nasuwa się spostrzeżenie, jak mało miejsca w porównaniu ze współczesnymi obywateli zagłady potrzebowało średniowieczne dla dręczenia ludzi. W celi skazańców, celi żelaznej dziewicy lub tej, gdzie ścinano — zaledwie można się poruszać. Wyszczerbiony pień, z którego spadały głowy, zachował się do dnia dzisiejszego.

Odbudowuje się również spalony Ratusz Prawomiejski przy ul. Długiej, oczekując jeszcze w tym roku barokowego hełmu uwieńczonego figurą króla Zygmunta Augusta.

W renesansowej Zbrojowni ustawiono już w parterze potężne kamien-

Gdańsk, jak każde stare miasto, przemawia do każdego językiem historii.

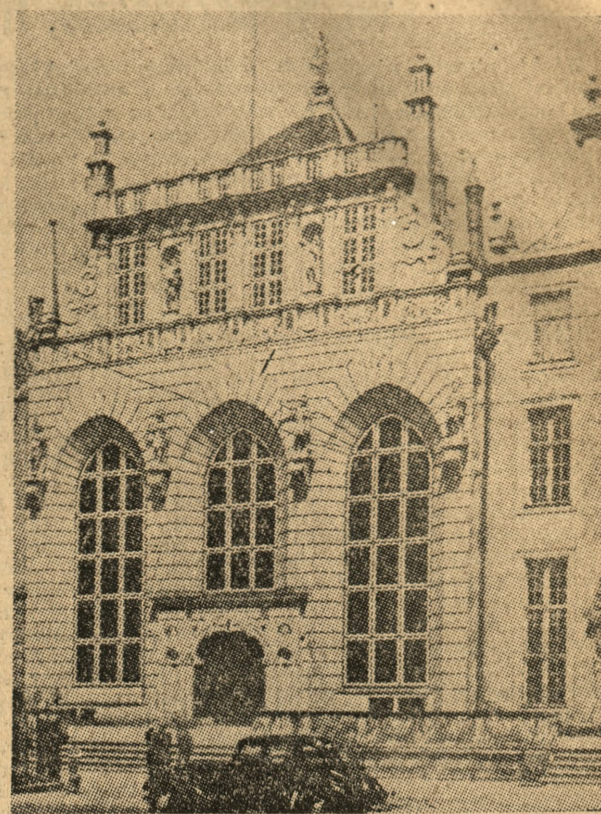
Już same nazwy wywołują swoiste wzruszenie: ulica Ław Chlebowych, baszta Konwii Miecznych, Zbrojownia, Ratusz Prawomiejski, Dwór Artusa, Brama Zielona, Dom Trzech Pastorów i ulica Długa.

Utarte powiedzenie, że ruiny też mają swoją wymowę, wobec ruin Gdańska znowu nabiera życia — to miasto zdaje się czekać na swój epos, powieść historyczną, błagając gotykem wież, przekonywując renesansem przedproży, uśmiechając się barokiem kaplicy królewskiej, ukazuje za każdym krokiem stare arcydzieła sztuki ślusarskiej, kręte kutą, rzeźbiarską kłamkę, wyszukaną w formie kółkę, przemocowaną do resztki drzwi domu, którego już nie ma.

To jeszcze nie wszystko; zrujnowane miasto obfituje w niespodzianki, odsłania treści dotąd nieznane, gdy spod uszkodzonych tynków wyłaniają się stare freski i malowidła ściennie, o tematyce stwierdzającej ich polskość. Widzimy resztki barokowych ornamentów w Kaplicy Królewskiej, malowidła w Ratuszu Prawomiejskim (scena sprzedaży owoców), ostatnio zaś odsoniło bardzo interesujące gotyckie w kościele św. Katarzyny.

Najciekawszym ze względu na temat jest malowidło w odremontowanej części kościoła, przedstawia bowiem scenę zabójstwa św. Stanisława. Siedem pomysłowo skomponowanych postaci, tak, że pomimo stłoczenia, układ całości jest bardzo przejrzysty. Podejście artysty, mówiące współczesnym językiem sztuki, raczej graficzne.

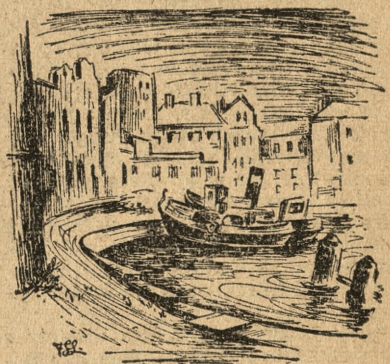
O ile zwiedzającemu Wybrzeże, Gdańsk nasuwa mimo woli kontakt z przeszłością, o tyle po przyjeździe do pobliskiego Sopotu napotyka się tętniącą życiem światowym i kulturalnym współczesność.



Dwór Artusa w Gdańsku (wygląd przedwojenny)

W powodzi imprez artystycznych i sportowych wszelkiego rodzaju, jak: koncerty, odczyty, widowiska teatralne, zawody tenisowe, wyścigi konne, na pierwsze miejsce tego lata wysunęła się zakrojona na szeroką skalę wystawa sztuk plastycznych, obejmująca: Wystawę Sztuki Ludowej, Malarstwa Polskiego XIX w. od Giermskiego do Waliszewskiego włącznie, Salonu dorocznego Z. P. A. P. Okręgu Gdańskiego, Sztuki Dziecka, Drzeworytu Japońskiego oraz Salonu Ogólnopolskiego Fotografiki. Wystawa urozmaicona szeregiem odczytów, budzi ogromne zainteresowanie, echem którego jest ożywiona polemika na łamach „Rejsów” i „Dziennika Bałtyckiego”.

a. r.



Fragment starego miasta



Tum Najś w. Marii Panny przed zburzeniem

ne filary, ponoć sprowadzone z kamieniołomów dolnośląskich.

W ulicy Panińskiej rekonstruuje się jedyne w swoim rodzaju przedproże. Kamienica Uphagena przy ul. Długiej czeka na swoją kolej.

„Mamutowe czasy” w Polsce

Rzadko kto wie, że odkrycia dokonane raz po raz w Polsce świadczą, że w kraju naszym żyły mamuty — zwierzęta przewyższające wzrostem dzisiejsze słonie, o ciele pokrytym ciemnobrunatnym futrem. Charakterystyczne były dla nich duże kły, o kształcie odmiennym jednak, jak u słoni. Około 1/3 kości słoniowej, znajdującej się obecnie w handlu, pochodzi właśnie z siekaczy mamutów, odnalezionych w wielkiej ilości w zmarzłej ziemi Syberii.

Północna Europa pod lodem...

Występowanie mamutów na ziemiach polskich wiąże się z epoką lodowcową, czyli dyluwialną. Lodowce, które do tego czasu, podobnie jak i dzisiaj, występowały tylko na dalekiej północy, wskutek niezupełnie wytłumaczonego jeszcze obniżenia temperatury i silnych opadów śnieżnych, zaczęły się posuwać ku południowi. Cała północna Europa od Anglii aż po Ural znalazła się pod pokrywą lodowcową.

Na ziemiach polskich lodowiec sięgał aż po Karpaty. Równocześnie w obszarach wysokich gór — w Alpach, Pirenejach, Karpatach i Tatrach potworzyły się miejscowe lodowce. Zlodowacenie tak wielkich obszarów nie mogło odbyć się bez potężnego wpływu na ówczesne życie. Część flory i fauny wyginęła, część zaś przesunęła się na obszary południowe. Szczególnie odnosi się to do świata zwierząt, które cofając się przed napierającym z północy lodowcem, wędrowały do Europy południowej i Azji południowo-zachodniej.

W okresie lodowcowym klimat ocieplał się parokrotnie i wtedy lodowiec cofał się ku północy, aby znowu z potężnym oziębieniem powrócić. Kilkakrotnie lodowiec posuwał się naprzód i co najmniej trzykrotnie cofał się na północ. Wraz z cofaniem się lodowca posuwały się za nim ku północy te zwierzęta, które — jak ren, wół pizmowy czy lis polarny, przystosowane były do życia w tundrze o skąpej roślinności. Dopiero później, gdy narastała bujniejsza roślinność z obszarów południowych, przybywały na północ także zwierzęta stepowe i leśne.

Blok z gór Skandynawii

Wraz z lodowcem pojawili się na naszych ziemiach nieznani goście z dalekiej północy — odłamki skał z Finlandii i Skandynawii, których bloki są dzisiaj śladem drogi lodowca przed dziesiątkami tysięcy lat. Nierzadkimi są na naszej ziemi bloki o objętości kilkudziesięciu metrów sześciennych, a niekiedy dochodzą nawet do kilkuset metrów sześciennych, jak znany kamień św. Jadwigi koło Pleszewa w Wielkopolsce. Ma on obwód ponad 20 metrów.

Czy szczątki ludzi — olbrzymów?

Resztki mamutów — największych zwierząt dyluwialnych — znajdowano w Polsce już dawno, lecz w wiekach średnich uważano je za szczątki ludzi-olbrzymów. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że m. in. kości zawieszono u

wejścia katedry wawelskiej w Krakowie, też miano przez długi okres czasu za kości wielkoludów. Dopiero badania uczonych wykazały, że są to kości mamuta, nosorożca i wieloryba.

Z biegiem czasu znajdowano coraz więcej resztek kostnych mamutów. Zwierzę to musiało być pospolite niemal na całym obszarze Polski — świadczą o tym wykopywane w różnych miejscowościach kości mamutów. Tuż przed wojną niemiecie poruszenie zarówno w polskim świecie naukowym, jak i w szerokich kołach wywołała wiadomość o znalezieniu pod Dubnem szkieletów pięciu mamutów. Było to coś w rodzaju cmentarzyska tych olbrzymich zwierząt. Obok szkieletów mamutów znaleziono krzemienne groty skał, należących do człowieka, który wtedy współcześnie żył z mamutem i niejednokrotnie na niego polował.

Obecnie w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie (naprzeciw gotyckiego kościoła św. Marka) znajduje się w Muzeum Przyrodniczym — w sali na III piętrze cenny okaz, będący unikatem światowym — dyluwialny nosorożec włochaty. Znalaziono go w roku 1929 w okolicy Nadwornej, w czasie poszukiwań prowadzonych przez Polską Akademię, przy czym rekonstrukcję okazu przeprowadził dyr. J. Stach.

Dziś mamuty należą do bezpowrotnie przeszłości. Musiały ustąpić innym zwierzętom, które lepiej potrafiły się przystosować do nowych warunków, jakie niosło życie. (b)

Legendy polityczne

we współczesnej literaturze niemieckiej

Wśród pisarzy niemieckich doby obecnej zarysowują się trzy ugrupowania, odpowiadające trzem kierunkom ideologicznym powojennych Niemiec. Czołowe miejsce zajmują pisarze re-emigracyjni, którzy po upadku hitlerizmu powrócili do Niemiec. Są to przeważnie wypróbowani bojownicy o demokrację, w większości komuniści, jak Anna Leigers Johannes Becher, Fritz Becker, Friederick Wolff lub Alfred Kantorowicz. Obok nich widzieliśmy pisarzy z tzw. „wewnętrznego frontu oporu”, Wicherta, Reina, Weissenborna, Nikischa, Harricha i in. Wreszcie trzeciej grupie pisarzy reakcyjnych przewodzą Lueth, Lange, Haussmann, Tiess, Herman Kozack, Alfred Deblin, Ernst Kreuder i in.

Podział ten jest oczywiście dość mechaniczny i uproszczony, gdyż różnice między tymi ugrupowaniami nie są ostre i widzimy punkty styżne szczególnie w twórczości pisarzy obozu demokratycznego i obozu reakcji. Ogólną cechą charakterystyczną piśmiennictwa niemieckiego jest przemilczanie rzeczywistości pokapitulacyjnej Niemiec. Tym się współczesna literatura niemiecka bezpośrednio nie zajmuje, pozostawiając twardą dziedzinę rzeczywistości publicystyce. Naświetla ją jednak z ukosa.

Z problemów, które dominują nad innymi, na pierwsze miejsce wysuwa się spór o odpowiedzialność narodu niemieckiego za wojnę, przesadna apoteoza podziemia niemieckiego oraz stworzenie aureoli bohaterstwa wokół spiskowców na życie Hitlera. Odosobnione miejsce zajmują ci, co w oderwaniu od problemów politycznych i społecznych w metafizyce szukają rozwiązań dręczących ich zagadnień. (Alfred Deblin — „Hamlet lub długa noc”, Wolfgang Borhardt — „Na zewnątrz przed drzwiami zamkniętymi”).

Pisarze niemieccy, którzy retrospektywnie spoglądają w przeszłość swego narodu, stają wobec niepokojących ich zagadnień: Jak się to stać mogło, że w Niemczech zapanało barbarzyństwo i jaki jest stosunek narodu niemieckiego do hitlerizmu? Czy był w Niemczech ruch oporu, a jeżeli istniał dla czego własnymi siłami nie uwolnił Niemców od klki hitlerowskiej?

Legenda nacjonalistyczna głosi, że antyhitlerowcami byli tylko generałowie, junkrzy i duchowieństwo, że aktywny opór dyktaturze hitlerowskiej stawiali tylko wyższe warstwy społeczeństwa, elita społeczna i umysłowa. Jako przykład wskazują na spiskowców z 20 lipca 1944 r. Jeden z pisarzy nacjonalistycznych Ernst Junger, zajmujący obecnie wysokie stanowisko administracyjne w strefie angielskiej, wystąpił nawet z memoriałem, w którym żąda utworzenia w zachodnich Niemczech... Izby Lordów na znak uznania antyhitlerowskich zasług junckerstwa niemieckiego a zwłaszcza pruskiego.

Inny pisarz, tym razem niestety z obozu demokratycznego, Wichert („Rede an die deutsche Jugend”) podtrzy-

muje również legendę o arystokratycznym antyhitleryzmie. Nie spozstrzegając się nawet, że przeciwnik jego z obozu faszystowskiego Hans Windisch podchwyci tę myśl i rozwinie, domagając się nowego dla Niemiec fuhrera. W książce „Fuehrer und Verfuhrer” („Seebruck am Chiemsee 1946”) napisze Windisch: „Często bywa, że ktoś Jeden światłem płomiennym myśli oświecił drogę biednej ludzkości. Mógłmy się więc, aby ten Jeden był nam zesłany”.

Obok legendy o arystokratycznym antyhitleryzmie istnieje również legenda druga o silnym antyfaszystowskim podziemiu ruchu oporu w Niemczech. Niewątpliwie istniał niemiecki ruch oporu. Dowodzą tego fakty sabotażu w przemyśle wojennym, tajne radiostacje nadawcze, ulotki itp. Ruch ten był jednak nieskoordynowany i rozproszony w masie wiernej Hitlerowi. Pisarze komunistyczni, oddając hołd należny ofiarom obozów koncentracyjnych i odosobnionym bohaterom, demaskują legendę o silnym ruchu oporu. Bohaterka dramatu Guentera Weissenborna („Die Illegalen” Berlin 1946) Lil, członkini podziemnej grupy antyhitlerowskiej, snuje takie rozważania: „Berlin posiada 4 miliony ludności. Z liczby tej 3 miliony niezwykło w ogóle myśleć. Pozostaje jeden milion. Z niego 900 tys. tchórz lub uznae faszyzm. Pozostaje 100 tys. z których 90 tys. mówi, że jest zajęte pracą zawodową lub nie interesuje się polityką. Pozostaje 10 tys. Z tych zginęło już 9 tys. Jeszcze mamy 1000 osób — tysiąc zdeterminowanych mężczyzn i kobiet w całym Berlinie. Z tych 993 wiernych nie znam. Pozostaje 7 osób tj. nasza grupa!”

Może te cyfry są przesadne. Pozostaje jednak fakt, iż grupy rewolucyjne w hitlerowskich Niemczech działały w odosobnieniu na własną rękę. Pisarz Hans Fallada w powieści „Jeder stirbt für sich allein” (Berlin 1947) daje tragiczny obraz małżonków Otto i Anny Quangel, którzy spozstrzegszy, że w środowisku swym są odosobnieni, postanawiają zwalczać Hitlera na własną rękę. Oto co niedziela on i jego małżonka wypisują pocztówki z hasłami antyhitlerowskimi i żona jego roznosi je po domach, wrzuca do skrzynki na listy i podruca na schodach. Byli dumni z szerzenia choć w ten sposób hasła wolnościowych. Pewnego dnia powinęta im się noga. Zostali aresztowani. Jakiegoż wstrząsu moralnego doznał Quangel, gdy urzędnik śledczy gestapo pokazał mu plan Berlina postrzyony chorągiewkami. Były to miejsca, w których małżonkowie podrucaли pocztówki antyhitlerowskie. Prawie wszystkie jego pocztówki odniesione zostały do gestapo. Społeczeństwo go nie poparło i nie odezwało na jego hasło. To co później nastąpiło — sąd i wyrok śmierci nie miało już dla niego żadnego znaczenia.

Ta sama myśl odosobnienia i beznadziejnej walki z hitleryzmem przejawia się w powieści Anny Segers i Heintza Reina. W powieści Reina — „Finale Berlin” (Berlin, 1947) mamy

taką charakterystyczną scenę: Grupa rewolucjonistów na tajnym zebraniu dowiaduje się z radia o rozstrzelaniu przez włoskich partyzantów Mussoliniego. Bravo! — woła jeden z obecnych Schretter. A gdzie niemieccy partyzanci? — ktoś głucho zapytuje. Milczenie. Rzecz charakterystyczna, że osławiony niemiecki zmyślny organizator zawiódł zupełnie w rewolucyjnej pracy podziemnej. Bohaterzy podziemia ginęli w samotności. Nie mieli radoznego pocucia poparcia szerokich mas. Na każdym kroku spotykali się z obojętnością, tchórzostwem i wrogiem nastawieniem. W każdym prawie Niemcu widzieli dobrowolnego agenta gestapo.

W powieści omawianej bohater jej b. poseł komunistyczny Reichstagu, znany w całych Niemczech przewodem demokratycznych związków zawodowych Friederick Wigand, nie mogąc znaleźć w podziemiu szerszego dla siebie pola działalności, wstępuje do warsztatów kolejowych za fałszywym dokumentem i tam sam bez współników i pomocników dokonuje sabotażu lokomotyw.

Pisarze niemieccy obozu demokratycznego wobec biernego oporu mas omamają siebie, że „walka grup rewolucyjnych nie miała wprawdzie znaczenia praktycznego, ale natomiast duże znaczenie moralne”. „Działalność nasza, pisze Hans Reine, stworzyła w oczach naszych alibi i uspokoiła nasze sumienie”.

Słusznie zauważa krytyk radziecki Ila Fradkin w pracy „Walka trwa”... że komentarz taki nie powinien być wyjętym spod pióra pisarza komunistycznego. Jest w tym echo tolstojowskiego moralnego samozadowolenia i bierność wobec celów i wyników walki antyfaszystowskiej. „Nie po to, pisze Fradkin, walczyci i walczyć komuniści na całym świecie, aby żyć w zgodzie ze sobą i mieć spokojne sumienie, lecz w imię zmiany porządku świata”.

Literatura ruchu oporów w Polsce, Czechosłowacji lub we Francji nie ma na sobie tego chorobliwego piętna, jakie dostrzegamy w piśmiennictwie niemieckim. Nieznany jest jej chaos ideologiczny i pomieszanie pojęć, jak również determinizm i beznadziejność, które cechują współczesną literaturę niemiecką. Zagadnienia te wymagają jednak specjalnego omówienia.

„Niema barykada”

Znany już czytelnikowi polskiemu czeski powieściopisarz Jan Drda w nowej swej książce, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Zachodniego w Poznaniu sięgnął do przeżyć wojennych.

Z wielkim umiarem artystycznym, unikając babrania się w okropnościach, jakich nam okupant zresztą nie żałował, przedstawia w „Niemej Barykadzie” czeskie społeczeństwo walczące z wrogiem, z podziemia. Frapującą tę książkę, z której czytelnik wiele dowie się o działalności ruchu oporu w Czechach, czyta się z wielkim zainteresowaniem, po prostu jednym tchem.

Oprawa graficzna książki bardzo staranna. Okładkę projektował artysta grafik A. Krakowski. (kr)

dnia. Odpowiedział bowiem gładko na pytanie nauczyciela, a potem usiadł, udając, że nie przysłuchuje się temu, co dzieje się w klasie. Od czasu do czasu jednak uśmiechał się złośliwie, gdy któryś z nas stał z opuszczoną głową przed nauczycielem i, sapiąc ciężko, grzął rozpaczliwie w trzęsawiskach niewiedzy. To frytowało nas ogromnie.

Po pewnym czasie jednak zmienił się. Nienawidził, bijąc od klasy, przeżarła powoli pancerz hardości, którym zamknął się szczerze. Odezwano się w nim wiekowi właściwe pragnienie współzycia. Pragnienie, które ukrywał długo i tłumiał prawie bohatersko. Wzdziliśmy i czuliśmy to wyraźnie. Pragnął tego współzycia i potrzebował go tak bardzo, jak my pragnęliśmy widoku jego meki. Wzdziliśmy, że wolałby nawet doznawać bólu fizycznego, bicia, dręczenia, by tylko móc żyć w jakimś stosunku do nas, a nie na uboczu, poza naszym światem, od którego aż na odległość nieistnienia oddzielała go ława przestępców, chociaż stała tylko o trzy metry od naszych.

Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że popełnił nie tylko przestępstwo, ale coś, co dyskredytowało nas wszystkich, czego wstydziliby się nawet dziewczęta. I właśnie uświadomienie sobie tego, że upadł poniżej poziomu honoru dziewcząt, które w naszych, a więc i jego oczach uchodziły za osobienie podstępny, donosicielstwa i fałszu, paliło go i żarło, jak drzazga w jątrzącej się ranie. Zrozumiał bowiem wreszcie, że przez niego przegraliśmy z dziewczętami decydującą bitwę o panowanie. Dotychczas przeważaliśmy nad nimi. Czuliśmy też, że zazdrościliśmy nam tego, co było naszą siłą. Teraz przekonały się, że nasza przewaga nad nimi opierała się jedynie o siłę pięści.

Wicek wiedział więc, że nieprędko

Rozmowa o czeskiej muzyce

Gdy do Filharmonii Poznańskiej nadeszła wiadomość, że gościnnie wystąpi w naszym mieście czeski dyrygent, Wacław Smetacek — ucieszyliśmy się na myśl o tym, że będzie się odeń można dowiedzieć wielu szczegółów, dotyczących muzycznego życia jeśli nie w całych Czechach, to przynajmniej w Pradze. A wracający z „Jara” nasi muzycy cuda opowiadali o wspaniałości orkiestr, pięknym brzmieniu zespołów kameralnych, dostojności tamtejszych chórów mieszanych i męskich. Przecież nawet i my mieliśmy okazję posłyszenia „Czeskiego Nonetu”, a nieco przed nim zachwycaliśmy się wirtuozerią „Czeskiej Filharmonii”. Przyjemności doznał artystyczny dopełniła jeszcze wizyta chóru „Dzieci praskich”. Mieliliśmy już wizyty dwóch wybornych artystów operowych. Blahuta i Hakena i możemy stwierdzić, że powaga, z jaką Czesi zabierają się do muzyki, może być przykładem. Niejeden zresztą raz mieliśmy okazję przekonać się dowodnie, że Czesi w całej pełni doceniają propagandowe znaczenie swej muzyki i otaczają jej wykonawców nadzwyczaj pieczołowitą opieką. W kraju, w którym do bardzo jeszcze niedawna muzyka była zepchnięta do roli „takiej — sobie” rozrywki, w kraju, w którym wysiłki Karłowicza a potem Szymanowskiego nie zawsze odnosiły zamierzone skutki — w Polsce, zazdrościliśmy Czechom poziomowi i znaczeniu muzyki. Okazała więc zawarcia znajomości ze Smetackiem była aż nadto kusząca, by się jej oprzeć.

Spotykamy się oczywiście w „Continentale”, gdzie zatrzymują się przeważnie zagraniczni goście. Wacław Smetacek porządkuje materiał nutowy na swą pierwszą próbę z poznańską orkiestrą. Wszystkie nuty są porządnie opatrzone i zaopatrzone w pieczętkę z nazwiskiem właściciela. Od razu okazuje się, że tak samo, jak i w Polsce — w Czechach cierpi się na dotkliwy brak materiałów nutowych. Trzeba wiedzieć, że wydawcą kompozycji Dworzaka i Sukabył Simrock w Niemczech. W czasie końcowej fazy wojennej spaliły się te wydawnicze formy, a wraz z nimi i płyty cynkowe kompozycji czeskich. Strata niepowetowana. Jeśli komuś udało się przypadkiem zachować własne partytury, czy nawet głosy orkiestralne — uważany jest za „krezusa”, i jedna orkiestra po drugiej wypożycza nuty od szczęśliwego posiadacza. Tak jest dla przykładu z czterema zeszytami partytury „Tańców słowiańskich” Dworzaka, Wacław Smetacek strzeże ich jak przysłowiowego oka w głowie. Zaczynamy rozmowę, która w zasadzie trwała przez tydzień bez mała. Mnóstwo pytań — tyleż odpowiedzi. Wicek najpierw rekomendujemy naszego miłego gościa, jako obojętnego z zawodu. Przed dwoma dziesięć laty założył wraz z czterema kolegami z praskiego konserwatorium sławny już dziś „Praski kwintet instrumentów dętych”. Grają w nim: flecista, oboista, klawecista, fagocista i waltornista. Nie tylko jeździli po „całym” świecie, ale także — co jest niezmiernie ważne — nagrali w czeskich wytwórniach płytowych szereg „dysków” z dawną i nowszą muzyką czeską. Oto znowu przykład właściwie pojętej propagandy. Poznańska „Melodia” trudni

się nagrywaniem drobniaków o znikomym nierzaz znaczeniu artystycznym. Nawet marzyć nie można, by się w jej repertuarze prędko znalazły utwory kameralne!

Dziś Smetacek liczy lat 42. „Zdażył” już doktoryzować się na praskim uniwersytecie z dziedziny muzykologii, nadto jest dyrygentem orkiestry symfonicznej, zwanej „FOK” — film, opera, koncert. Nazwa ta obecnie nie jest już aktualna, datuje się ona z okresu powstającego kryzysu gospodarczego (1934), gdy było w Pradze wielu bezrobotnych muzyków i trzeba było dla rozwiązania sytuacji założyć taki „zbiórowy rezerwuariat orkiestralny”. Dziś orkiestra, której działalność podczas okupacji nieco osłabła, rozwija się coraz piękniej. Gdy już mowa o orkiestrach, dowiaduję się ze zdumieniem, że w samej Pradze istnieją następujące zespoły symfoniczne, mogące w „każdej chwili” dać koncert. Otóż na czele symfonicznego życia w Pradze stoi „Czeska filharmonia”. Liczy ona ni mniej ni więcej tylko 120 instrumentalistów.

Dalej idzie radiowa orkiestra symfoniczna W tej znowu gra 80 muzyków. W orkiestrze Smetacka — owym „FOK” gra ich 70! Nadto istnieje tak zwana „mała” orkiestra radiowa, od tamtej całkiem niezależna, która składa się z pokaźnej ilości 50 muzyków. To jeszcze nie wszystko, bowiem istnieje zespół piąty tak zwana orkiestra „filmowa”, której specjalnością jest nagrywanie muzyki do filmów. No i jeszcze dwie (!) orkiestry dwóch oper praskich, ujętych wspólną i tak wiele mówiącą Polakowi nazwą „Narodni Divadlo”. W jednej gra 100, w drugiej 80 instrumentalistów. Aż się w głowie mąci Polakowi! W Poznaniu mieliśmy w okresie przedwojennym tylko jedną orkiestrę. Grała ona w operze i na koncertach. Teraz mamy dwie od siebie całkiem niezależne i chlubiśmy się tym. Ale dobrze jest, jak jest. Wicek cieszymy się i z tego.

Dr Wacław Smetacek bardzo jest z poznańskiej orkiestry zadowolony. Mówi, że muzykom naszym nie brak ochoty do pracy i w ciągu niedługiego okresu prób dali z siebie maksimum wysiłku. Zachwycony jest solistą Mieczysławem Gizelem, który nad wyraz pięknym i gorącym tonem grał dłuższe partie w „Pohadce” Józefa Suka. Smetacek był na „Goplanie” i na „Fauście”. I znowu zachwycą się naszymi tenorami operowymi. Roy — jego zdaniem ma olbrzymie szanse artystyczne w całych Czechach. Chór męski w drugim obrazie „Gopłany” zwrócił uwagę miłego gościa pięknym brzmieniem.

Smetacek pojechał z Poznania do Sopot, gdzie dyrygował również tamtejszą filharmonią. Może uda się zapewnić sobie jego wizytę w okresie wiosennym. Przyjechałby wówczas z wiołoczelistą Heranem, który ma w swym repertuarze sławny „Koncert wiolonczelowy” Martinu. Cieszymy się już z góry na myśl o tym koncercie i życzymy dr. Smetackowi wszystkiego najlepszego po powrocie do swej ojczyzny. Orkiestra poznańska jest nim zachwycona. Publiczność również. A więc przyjaźń zawarta — prawda, panie Doktorze?

Dr Jerzy Młodziejowski

ERYK WILK

Ten z ławy przestępców

Opowiadanie

Stała w rogu szara, odrapana, najbrzydsza ze wszystkich. Bałiliśmy się jej jak pani od polskiego, która ważyła sto kilo i nabiłaby nawet Szymurę. Ten bowiem, któremu kierownik kazał przenieść się do tej ławy, wypadł poza nawias szkolnej społeczności. Nikomu nie wolno było witać się z takim, rozmawiać, przede wszystkim zaś podpowiadać mu, co oczywiście miało następstwa straszliwe.

Z tym „wypadaniem poza nawias społeczności szkolnej”, jak to określali kierownik, bywało jednak różnie. Nie zawsze bowiem widzieliśmy zło w tym, z czego on robił tragedię. Kiedyś na przykład przeniósł do tej ławy Antka Kuberke. Antek bowiem posprzeczał się raz z Celinką Krajewską i wybił jej oba zęby mądrości, na skutek czego nie otrzymała potem promocji. Antka potępiali i uważali za przestępcę, jednak tylko dziewczęta, my natomiast nie widzieliśmy w tym niczego złego i trzymaliśmy z nim tak samo, jak dawniej. Zresztą cieszyliśmy się też po cichu, że wybił Celince te zęby, bo była czasem za mądra.

Z Wickiem Nakrętką było jednak inaczej. On zawiął nie w stosunku do dziewcząt, albo zwyczajów szkolnych, ale przeciwko temu, co my nazywaliśmy honorem chłopaka.

Nie mogąc w wyścigach kolarskich, które urządzaliśmy co niedzielę na sosie, nigdy zając pierwszego miejsca, sięgnął po nie w sposób paskudny i podły. Uciekł nam natychmiast po starcie, a kiedy już doganiał się go na czwartym kilometrze, koła naszych

maszyn zaczęły stukać o bruk. W oponach tkwiły gwoźdźdiki.

Początkowo wypierał się tego przestępstwa, a nawet zamierzył się na Franka Rochatkę, gdy mu chciał przeszkadzać kieszanie, kiedy jednak Antek zajął mu w oczy, opuścił głowę i zacierwienił się, jak nauczyciel od rachunków, gdy mu raz na przerwie upadł chleb na podłogę, a cała klasa widziała, że był suchy. Antek był bowiem największym bokserem w szkole.

Następnego dnia opowiedzieliśmy o całej sprawie kierownikowi. Ten kazał Wickowi wyjść przed katedrę i zaczął w te słowa:

— To, co zrobiłeś, jest...

— ...czyste świństwo — podpowiadał mu Jasio Hencki i wyleciał za drzwi.

— Trzyma jeszcze z takim — pomruczała klasa gniewnie.

Okazało się jednak, że kierownik nie trzymał z Wickiem, kazał mu bowiem usiąść w ławie przestępców. Wicek usiadł w niej powoli, niedbale i spojrzał na nas z uśmiechem pogardliwym. Zrozumieliśmy, co chciał nam powiedzieć. Myślał o tym, że nie doczekamy się nigdy tego triumfu, gdy, pytany przez nauczyciela, będzie dumnym oczekiwał naszej pomocy. Klaskał bowiem do najlepszych w klasie i raczej jego wiedza była naszą deską ratunku w chwilach straszliwej próby. Tą przewagą nad nami nie chciał się nigdy, teraz jednak okazał ją nam w całej pełni i jakby czekał na pierwszy moment swojego triumfu. Doczekał się go też już tego samego

Wyróżnione w lipcu 1948 na konkursie literackim Polskiego Radia w Warszawie.

Bronek Taberski, który by to na pewno wiedział, bo był prymusem i miał dlatego „iść na nauczyciela”, jak przed sąsiadkami chwaliła się jego matka, chorował właśnie na grype. Wicek podstępnie! Tadziowi dyskretnie:

— Ti — ra — na.

Dziewczęta czuwały jednak i zawołały triumfujące:

— Ten z ławy przestępców podpowiada.

Ciosy takie spadały na Wicka jednak nie tylko w szkole, doznawał ich bowiem wszędzie, gdzie się tylko pokazał. Ba, nawet kozę, którą po podłudniu wypędzał na wspólne pastwisko, dziewczęta ze złością odganiały od innych, twierdząc, że jest też tyle warta, co on.

Pewnego dnia w naszym miasteczku wybuchł pożar. Palił się narożny dom przy ulicy Kościuszki. W pewnej chwili rozpaczliwy krzyk wstrząsnął tłumem gaszących. W okienku tuż pod strychem czteropiętrowej kamienicy ukazała się czterolatnia córeczka rudej Ładackiej, która była znaną pijaczką. Najwiedźniej leżała znowu pijana gdzieś w rowie, nie było jej bowiem w domu.

Strażacy próbowali dostać się do tego okienka, drabinki okazały się jednak za krótkie, chociaż przedłużano je, przymocowując końcami jedną do drugiej. Była to bowiem straż ochotnicza, nie miała więc tak dobrego sprzętu, jak straż w dużych miastach.

Na strych wejść można było zaś jedynie od zewnątrz, cała klatka schodowa bowiem stała w płomieniach. Znalazło się jednak dwóch odważnych strażaków, którzy zdecydowali się wejść po rynnie. Ale kiedy pierwszy wrócił z połowy drogi, bo haki, przytrzymując rynne, zaczęły ruszać się w murze, żona drugiego stanęła przy rynnie i błagała ze łzami w oczach, by nie szedł na śmierć. Strażak próbował ją oderwać od ryn-

Wystawa malarstwa krakowskiego w Muzeum w Gorzowie

Malarstwo nasze, nie może niestety poszczycić się wielowiekową tradycją, jak nasza architektura. Rozwój naszego malarstwa zbiegł się z upadkiem przedrozbiorowej Polski, co niewątpliwie odbiło się na dalszych jego losach. Wpływ ośrodków niemieckich: Monachium czy Wiednia — drugorzędnych pod względem znaczenia i poziomu w sztuce światowej, stał się dominującym i zaciążył na naszej sztuce. Dzisiaj już z pewnej perspektywy zdajemy sobie sprawę, że wpływy niemieckie zaszkodziły polskiemu malarstwu.

Stan ten zmienia się dopiero po pierwszej wojnie światowej, gdy koło osoby Pankiewicza, prowadzącego w Paryżu filię Akademii Krakowskiej, grupuje się grono młodych malarzy polskich, za pośrednictwem których do kraju przenikają wpływy sztuki francuskiej. Grupa ta od skrótu Koło Paryskie: KP „kapistami” zwana, jest pod wpływem Bounard’a i postimpresjonizmu.

Od sztuki wiedeńsko-monachijskiej do kapizmu to bardzo daleka droga. Nie więc dziwnego, jeżeli w obecnej chwili sztuka ta nie znajduje wielkiego zrozumienia nie tylko wśród szerokiego mas, lecz i u inteligencji. Jak we wszystkich dziedzinach, tak i w tej mamy ogromne zaległości do odrobienia.

Trzeba nadmienić, że w ośrodku paryskim postimpresjonizm należy do przeszłości, a dominuje dzisiaj sztuka abstrakcyjna, względnie postkubistyczna o elementach geometrycznych. Elementy te odnajdujemy w nowoczesnej architekturze, gdzie one nikogo nie razi.

Na tym tle rozwoju sztuki europejskiej, a nawet innych ośrodków polskich, wystawa krakowska ma oblicze bardzo umiarkowane, gdyż sztuka abstrakcyjna nie jest w ogóle reprezentowana. Do tzw. awangardy można zaliczyć zaledwie dwu artystów: Łąkomskiego i Wańka, u których można zobaczyć tendencje do geometryzowania i upraszczania formy. Dwa pejzaże Łąkomskiego bardzo śmiałe, lecz mimo to, dobrze skonstruowane pod względem formy i koloru; może zbyt mocno szafuje czarnym konturem w dalszych planach.

U Krzyształowskiego widać wyraźną walkę o nowy wyraz i formy, co mu się niezupełnie udaje. Nie może się pozbyć naleciałości secesyjnych. Akt niedostatecznie skonstruowany co do formy, lecz ciekawy kolorystycznie, mimo bardzo niskiej, ciemnej gamy.

Radnicki może najbliższy est realizmu, o którym tak dużo się dyskutuje na łamach prasy fachowej. Prace jego stoją na wysokim poziomie, mimo łatwej czytelności i posiadają elementy nowoczesności, co bardziej uwidacznia się w „Widoku z Krakowa”.

Kochanowski pokazał trzy prace, każda w innej gamie kolorystycznej, o innym nateżeniu barw i w innym stylu. Ukazują one duże możliwości rozwojowe artysty. Promaszkę w swej martwej naturze, nie jest już „kapista”. Wielka rzeczowość, mistrzowskie operowanie kolorem przy bardzo prostych

środkach — to cechy charakterystyczne tej pracy.

Najtypowsze dla „kapizmu” są dwa pejzaże z Kudowy Eibischa, świetnie zrównoważone kolorystycznie i świadczące o dużej kulturze autora. Każda plamka gra swoją rolę w stosunku do otoczenia. Są one klasycznym przykładem malarstwa przestrzennego, skonstruowanego na płaszczyźnie.

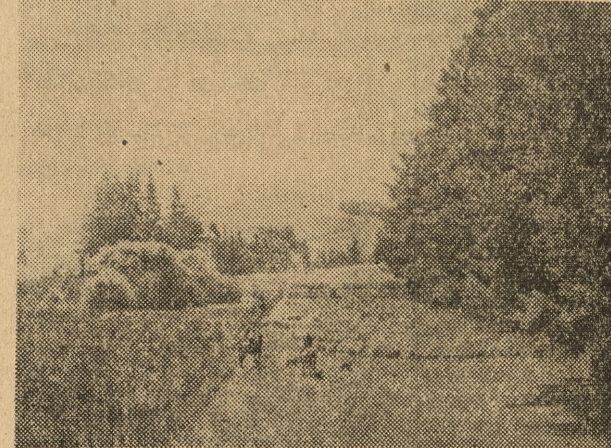
Ze sztuki czarno-białej świetne są rysunki Marczyńskiego — najstarszym wydają mi się sosny, w których przejawia się reminiscencje japońszczyzny, tak zgubnego wpływu w okresie secesji. Trudno pogodzić ten rysunek z pozostałymi, bardzo nowoczesnymi co do formy. W konkluzji pokazana w Gorzowie wystawa krakowska stoi na wysokim poziomie i mimo wielkiego umiarkowania, przejawia wiele elementów nowoczesności. Jeżeli wolno wyciągać wnioski z tak małego odcinka, zaznacza się pewna tendencja do nowoczesnie pojętego realizmu, a kapizm wydaje się należeć do przeszłości.

Nina Kęszycka

Z ruchu wydawnictw

Leopold Tyrmand „HOTEL ANSGAR”. Zdzisław Gustowski, Poznań.

Wydawnictwa Firma Zdzisława Gustowskiego lansuje młodego debiutanta pracującego dotychczas w dziennikarstwie. Leopold Tyrmand zapoznał się w czasie wojny z terenem Norwegii — Polakom przeważnie obcym, a tym bardziej budzącym ciekawość i na tle fiordów, morza, oraz pięknej stolicy Oslo umieszcza swoje 4 opowiadania, nierówne w długości, a także w walorach. Dwa krótkie opowiadania: „Błyskawicę słyszał w Oslofiordzie” i „Pokoju ludzimu dobrej woli” mają akcent głębszy, a także jakby wyświeżają autentycznością. „Niedziela w Stawanger” to barwny opis przygód w czasie ucieczki, zaś „Hotel Ansgar” to niewiarogodne wyczyny polskiego członka konspiracji na tle walki podziemnej w Norwegii. Młody autor pisze z niezwykłą werwą i lekkim przyjemnym humorem, którym okrasza najdramatyczniejsze sceny, czyniąc ze swoich opowiadań lekturę barwną i łatwą.



Lasy i pola Nowej Zelandii, to prawdziwy raj dla świata zwierzęcego

Fauna Nowej Zelandii

Kiwi — ptak narodowy. — Kukulki, które nie kukają. — „Więcej wieprzowiny”. Jaszczórka o trzech oczach. — Czy ryba może żyć w ziemi? — Jadowity pajak Katipo.

Charakterystyczną cechą świata zwierzęcego Nowej Zelandii jest prawie kompletny brak ssaków. Żyją tu tylko ssaki morskie: wieloryby i fok, oraz dwa gatunki nietoperzy. Potwierdza to twierdzenie, że Nowa Zelandia powstała niezależnie od innych kontynentów.

Ze ssaków morskich najważniejsze są wieloryby, których kilka gatunków spotyka się w wodach nowozelandzkich. Przemysł wielorybiczny był jednym ze sposobów zarabkowania pierwszych kolonistów przybyłych do Nowej Zelandii. Na południowej wyspie do dziś dnia istnieje stacja braci Perano, poławiająca paraset wielorybów. Oprócz wielorybów widzi się u wybrzeży stada delfinów, a na południu, na wyspach położonych w wodach antarktycznych, żyją stada morskich lwów, słoni i fok.

Ptaki

Świat ptasi Nowej Zelandii jest o wiele bogatszy od świata zwierzęcego. Przede wszystkim uderza znaczną ilość gatunków ptaków, które zatraciły zdolność do lotu, mimo, że mają skrzydła w formie szczątkowej. Tłumaczy się to tym, że wyspy, były izolowane od innych kontynentów i z uwagi na brak drapieżników — ptaki te nie potrzebowały się przed nikim bronić, ani uciekać.

Kiwi — należy do ptaków strusiowatych. Jest to ptak o upierzeniu przypominającym włosy, nie posiadający skrzydeł. Długi, giętki dziób służy mu do wyszukiwania w nocy żeru. Dziób ten ma szczególne właściwości: posiada ciałka dotykowe, którymi Kiwi szuka w nocy owadów; nozdrza jego znajdują się przy samym końcu. Kiwi jest dziś rzadkością na obu wyspach, gdyż nie mogąc latać, łatwo pada ofiarą psów, lub wpada w łapki nastawione na opsy i inne szkodniki. Podobiznę tego ptaka widzi się na znacznych pocztowych, na pieniądzach; broszki z Kiwi przypina się jako ozdoby do garderoby kobiecej a każdy kalendarz musi mieć fotografię tego ptaka.

Weka — kura maoryska należy do bezskrzydłych brodzów, żyjących w gęstym bush'u. Odznacza się ona wielką ciekawością. Z chwilą rozbicia przez ludzi obozowiska, już po kilku chwilach, Weka z ciekawością naszej sroki zagląda do blaszanki i porwawszy wszelkie błyskotliwe przedmioty.

Kakapo — jest jedyną papugą na świecie pozbawioną możliwości lotu, żerującą w nocy. Zamieszkuje połud.

wyspę. Tak a he — przewyższającą sporego indyka, można zobaczyć w muzeach. Oprócz papugi Kakapo jest wiele innych gatunków papug o nazwie Kaka-Kea oraz popużki małe, czerwona i niebiesko-czelne.



Kiwi — narodowy ptak Nowej Zelandii

Do najlepszych śpiewaków nowozelandzkich należy ptak Tui i ptak „Dzwoniec” — Bellbird. Tui, śpiewając melodie, bierze tak wysokie tony, że ucho ludzkie nie jest w stanie je usłyszeć. Bellbird należy do miodojadów, zbiera nektar z kwiatów, ma głos przypominający brzmienie dzwonek.

Z mniejszych ptaków trzeba wspomnieć zimerodką nowozelandzką Kingfish, małą pokrzewkę zwaną Riro-riro oraz ptaka pawika Fantail.

Nowozelandzkie skowronki zwane Pipit, podobne są do naszych skowronków — tylko z upierzenia a nie z głosu.

W gęstym bush'u można spotkać rodzimego, nowozelandzkiego gołębia Pigeon o grzbiecie zielonym i białym podbrzuszu.

Z wędrownych ptaków znane są dwie kukulki: kukulka mieniaca się i długonogiasta. Obie nie kukają ale wydają głos bardzo melodyjny. Zimują one na wyspach Salomona i w Nowej Gwinei — zresztą wykazują te same cechy co inne nasze kukulki.

Ptaki wodne i morskie stanowią w Nowej Zelandii bogatą grupę. Są tu kaczki o różnych odmianach a więc: szara kaczka, rajska kaczka, mewy, rybitwy, albatrosy, pingwiny, kormorany.

Niektóre ptaki wyginęły w dawniejszych epokach geologicznych i znane są tylko z wykopaliisk. Są to: orły, bekasy, i ptak-olbrzym z rzędu strusiowatych tzw. Moa. Żył on jeszcze kilkadziesiąt lat temu na wyspie południowej. Kości ptaka Moa można oglądać w muzeach nowozelandzkich.

Z niewielu ptaków drapieżnych trzeba wymienić: błotniaka, sokoła i sowę Morepork nazwaną z jej sposobu nawoływania (moe pok — co znaczy po polsku „więcej wieprzowiny”).

Świat gadów i płazów

Nowej Zelandii jest bardzo ubogi. Nie ma ani jednego gatunku węzów. Są natomiast jaszczurki. Najosobliwszą z nich jest Tuatara — jaszczurka, mająca na ciemieniu trzecie oko. Tuatara jest bardzo rzadka i żyje na wyspach przybrzeżnych Nowej Zelandii.

Z płazów wymienić trzeba trzy gatunki zab nowozelandzkich, z których jedna Liopelma, ma tę właściwość, że skrzek nie składa na wodzie, lecz na wilgotnych listkach bush'u.

Nowa Zelandia ma wiele ryb. Posiada ich 250 gatunków morskich na Pacyfiku i w morzu Tasmańskim. Wiele z nich jest spokrewnionych z rybami australijskimi lub południowo-amerykańskimi. Do osobliwości należy ryba błotna Neochanna, która czasami zakopuje się po powodziach na meliznach na głębokość 1 metra i tak może przetrwać do następnej powodzi.

Fauna bezkręgową

jest bardzo uboga. Motyli i ciem znamy zaledwie 20 gatunków, z których większość to okazy małe i niepokazne. bez jaskrawych barw. Liczniej już występują owady i szkodniki sadów — jak również ogromna ilość pajaków o różnych odmianach. Jednego z nich trzeba wymienić jako niebezpiecznego, ponieważ jego ukąszenie jest jadowite i czasami śmiertelne. Jest to pajak Katipo, który lubi przebywać w kłodach drzew, na wybrzeżu.



Wśród wysokich drzew palmowych prowadzi kręta droga, po której z trudem porusza się samochód

Gospodarczo ważnymi są kraby — langusty i ostrygi, żyjące ławicami w przybrzeżnych wodach. Stanowią one przysmak miejscowej ludności.

W morzu spotykamy obfitość różnorodnych barwnych małży. Gatunek Paua-shell służy do wyrobu różnych drobiazgów ozdobnych: broszek, bransoletek, wisiorów, spinek, kolczyków, pierścionków i innych świecidełek, które są obliczone na wywóz jako osobliwości nowozelandzkie.

Z innego znów małża zwanego Toheroa sporządza się smaczną, zieloną zupę, koloru naszej zupy szczawiowej, która uchodzi za narodową potrawę nowozelandzką.

Taki jest pełen niespodzianek świat roślinny i zwierzęcy Nowej Zelandii. Świat pełen czaru i tajemniczości, nie spotykanych nigdzie na świecie barw, koloru i egzotyki, cichy, spokojny świat, w którym wszystko uśmiecza się stońcem, wonią kwiatów, śpiewem ptaków i cichym szumem licznych rzek.

ny, ale kiedy i jego dwoje małych dzieci zaczęło krzusić się spazmatycznym płaczem, cofnął się i tylko westchnął głęboko. Tłum pomruczał, wymyślając na strażaków, że urządzają tylko zabawy, a gdy mają pokazać, co potrafią, to stoją, jak barany. Nagle uspokoił się i jakby zachłystnął się grozą tego, co teraz się stało. Skądś wypłynął Antek Kuberka i zgrabnymi ruchami, niby kot jak wspinąć się po rynnę. Jakiś człowiek podbiegł z krzykiem do rynny i chciał go ściągnąć, nie zdążył jednak, Antek był bowiem już blisko pierwszego piętra.

— Mój Boże, żeby się chociaż przeżegnał — załamentowała jakaś kobieta, załamując ręce.

— Cicho, matko, wy się za niego pomódlcie, tylko nie róbcie hałasu, bo to go denerwuje — uspokajał ją łagodnie milicjant. Antek dotarł jednak tylko do połowy trzeciego piętra, hak, na którym stanął całym ciężarem, wyrwał się bowiem z muru i dzielny chłopak zabiłby się niechybnie, gdyby przeżorny milicjant nie rozpostarł za strażakami płachty brezentowej.

— Trudno, wola Boża. Nie uratujemy tego dzieciaka — załamał się mężczyzna, patrząc z zrezygnowaniem w okienko na czwartym piętrze, a kobiety zaczęły wrzeszczeć i odmawiać modlitwę za umarłych.

Nagle krzyk przeraźliwy zatrząsł powietrzem, ciężkim od gorączki, dymu i beznadziejności kłócącego się tłumu i jakaś kobieta zwała się z rozkrzyżowanymi ramionami na bruk. Była to matka Wicka Nakrętki. Jego płowłosą głowę wycyliła się bowiem właśnie z okienka na poddaszu, a po chwili on cały zawiśł nad przepaścią, trzymając się rynny. Na jego plecach wisiała dziewczynka, przywiązana do ramion powrozem, jak plecak.

Nikt nie widział, którędy wchodził, chociaż widzieliśmy, jak kręcił się przy strażakach i przekonywał ich, że klat-

ka schodowa pali się tylko na pierwszym i drugim piętrze. Ale nikt nie zastanawiał się teraz nad tym, wszyscy bowiem drżeli tylko o to, czy zdoła dopełnić do naróżnego odprowadzenia rynny, do którego suwał się wolno, centymetr za centymetrem.

— Cicho, psiakrew! — krzyknął burmistrz, widząc, że wrzask tłumu przeszkadza Wickowi w jego straszliwej walce, my zaś aż dygotał, chociaż nie wiedzieliśmy, czy z lęku, dumy, czy wstydu.

Burmistrz interweniował w samą porę, Wicek znielichomiał, bowiem na chwilę i jakby odetchnął, a gdy wszyscy ucihli, ruszył znowu dalej.

Nagle syk grozy wyrwał się z ust tłumu, a kilka kobiet zemdlło. Wicek doznał bowiem do odprowadzenia rynny, zatrzymał się, szukając nogami oparcia, a gdy dotknął nimi drugiej rynny, oblał ją. Osunął się na nią reszta ciała i przygłnął do niej. Teraz by już bezpieczny. Po dwóch kwadransach, zsunął się wreszcie na podstawioną drabinę, sięgającą poza drugie piętro i został na niej, aż go strażacy nie zdjęli. Gdy go znieśli na dół, zaczął wymiotować, a potem zbladł i zwiesił bezwładnie głowę. Stracił przytomność. Pewnie od wysiłku, albo też bólu. Ramiona i nogi były bowiem zakrwawione i poodzierane prawie do kości, a postrzępiona koszula i spodnie tliły się jeszcze w kilku miejscach.

Czekaliśmy dwa tygodnie, a kiedy lekarz zgłosił się wreszcie na półgodzinną wizytę, przyszli wszyscy. Portier przykazał nam zachować się „po ludzku”. Na schody wchodziliśmy więc ostrożnie, na palcach i z Antkiem Kuberka na czele.

— Holipa, w apartmencie pokoju sobie leży! — wykrzyknął Jasio Hencki i dostał od Antka kolaniem w siedzenie, by mieliśmy przecież nie robić hałasu.

Po chwili byliśmy przy drzwiach. Nikt jednak nie miał odwagi chwycić za klamkę. Sam Antek Kuberka zbladł i zmalał dziwnie, chociaż był największym bokserem w szkole. Staliśmy zakłopotani, przynęceni czymś, patrząc na siebie, jak grupka wyłapanych spiskowców pod drzwiami wielkodusznego władcy, który wezwał ich na audiencję przebaczenia.

— No, idź już i nie trzęś się tak, jak byś szedł po świadectwo — oprzytomniała Zosia jako pierwsza, popychając Kuberkę.

Ruszył więc, za nim zaś wsunęła się reszta, stłoczona ciasno niby stadko kurcząt zalekanych, płatających się dokoła nóg kwoki.

Antek był prezesem naszego klubu piłkarskiego, dziewczęta orzekły więc, że on jako pierwszy przemówił do Wicka. Napisał sobie przeto na kartce swoje i zamierzał ją właśnie wygłosić. Ale kiedy ujrzał twarz Wicka, bledującą i wymęczoną cierpieniem, zapomniał o wszystkim. Nawet o zdjęciu starego ojcowego melonika, który nosił od czasu, gdy został prezesem i dopiero Zosia zsunęła mu go dyskretnie.

Zaległa cisza. Tak przejmująca i ciężka, że o mało nie uduśliła Jasia Henckiego. Nałykał się bowiem tak bardzo zapachu eteru i chloroformu, który bił z korytarza, że poczerwieniał i aż się zalał. Nie miał zaś odwagi zakaszać. A gdy zaciśnięte i coraz gwałtowniej drgające wargi nie mogły już powstrzymać naporu i rozerwały się z wielkim hałasem wstrząsającego kaszlu, wszyscy spojrzeli na niego z wściekłością, a jego siostra szepnęła z zawstydzeniem do Zosi:

— Z nim jest zawsze ambaras.

— Powiedz wreszcie tę mowę, bo trzeba przecież zacząć — upominała potem Antka, szczyjąc go w ramie.

Antek podniósł więc głowę, prze-

knął coś ciężko, aż krtań śmiesznie zadrgała, a potem zaczął:

— Szanowny ko...le...go... Wic...ku — i utknął.

— Ja jako twój prezes... — podpowiedziała mu Zosia, podsuwając kartkę, którą z przejęcia upuścił na ziemię. — ...ja jako twój prezes i... jeszcze wyżej — wtrącił szybko szepsem, bo Zosia trzymała kartkę za nisko — tak, dobrze... ja jako twój przełożony i prezes — powtórzył i zgubił się znowu w gąszczu własnych zdań, których sam nie mógł teraz przeczytać.

— Ach, po co tyle gadania. Co było to było i na tym jest koniec — zagrmiał wreszcie pełnym głosem i odsapnął z ulgą.

— Właśnie A to z tymi gwoździkami mogło przytrafić się każdemu, no nie? — dodał Jasio Hencki i dostał od siostry łokciem, bo w klasie zapadła uchwala, by nie mówić o tym już więcej.

— A teraz jazda, przywitaj się z Wickiem — zakomenderował Antek. Podchodziliśmy więc kolejno, jak Antek nakazał. Czynniliśmy to jednak sztywno i z zażenowaniem, Wicek milczał bowiem.

— A Stasio nie przyszedł? — zapytał jednak nagle.

Teraz zaszumiało w pokoju, jak w ulu, w który ktoś uderzył młotkiem.

— Ma grype. Już trzy dni nie było go w szkole — odpowiedzieli wszyscy gwałtownie.

— I mógłby cię jeszcze zarazić infekcją — dodał Jasio Hencki, wypływając zza pleców Antka i wydając dumnie wargi, bo zaimponował wszystkim tym wspaniałym wyrazem.

Tylko Bronek Taberski, który wiedział wszvstko i miał dlatego „iść na nauczyciela”, skrzywił twarz ironicznie i szepnął coś Jasiowi na ucho.

— Nie bądź taki mądry ty głupi

ośle — odparł ten półgłosem, a reszta uśmiechnęła się złośliwie, nie lubiła bowiem Bronka za jego zarozumiałość.

Bronek chciał coś odpowiedzieć, weszła jednak pielęgniarka, przypominając ostro, że pół godziny minęło.

Zaczęliśmy więc żegnać się z Wickiem. Zosia ościagała się jednak dziwnie, miała bowiem powiedzieć coś ważnego, zwlekała z tym zaś do ostatniej chwili.

— No, śmiało, nie bój się, jesteśmy przecież ludźmi — zachęcał ją Franek Rochatka, popychając ostrożnie.

Kiedys bowiem Zosia powiedziała Wickowi, że jest takim samym zbrodniarzem, jak Kain, chociaż nie zabił brata. W klasie postanowiono więc, by to teraz odwołała.

— No, Zosia — upominał ją Antek.

— Zaraz — szepnęła nerwowo.

Wreszcie podeszła do Wicka i czerwona na twarzy jak pomsta wołająca do nieba, powiedziała szybko, ale z drżeniem i straszliwym przejęciem:

— A... to z tym Kainem to nieprawda, bo pan kierownik powiedział, że tacy, jak ty są największym majątkiem naszego narodu.

— Brawo! — dorzucił Jasio z radością i dostał od siostry szturchańca, żeby nie śmiał się z tego, co mówi kierownik.

— No, a teraz idziemy — zakomenderował Antek — przyrzekłem panu doktorowi, że będziemy tylko pół godziny, a nie chcecie chyba, by wasz przełożony miał łamać słowo.

Nie, tego byśmy oczywiście nie chcieli. Posłaliśmy więc. Na dół Antek nacisnął znów swój melonik prezowski na głowę i rzekł:

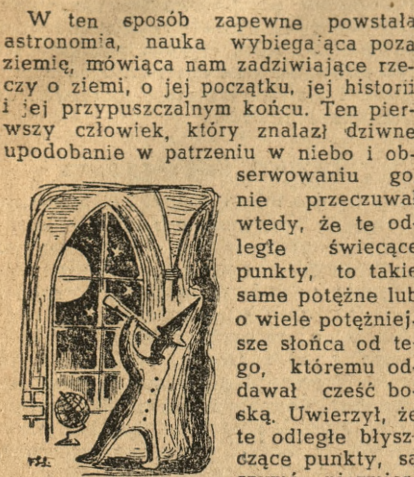
— Mówcie, co chcecie, ale najdziesiętniejście chłopaki, to jednak te z ławy przestępców.

Powiedział to z przekonaniem i dumą, bo i on siedział kiedyś w tej ławie.

NARODZINY WSZECHŚWIATA

Kiedyś, bardzo dawno temu, przed wielu tysiącami lat, pewien samotny człowiek, przechadzając się wśród ciepłej, letniej bezkiszynowej nocy, spojrzawszy w zamysleniu w górę i ujrzał tysiące migających punktów, którymi pokryte było całe bezchmurne niebo. Znał je dobrze, wiedział, że nazywają je gwiazdami. Ale może po raz pierwszy zastanowił się nad tym, czym są te odległe punkty i po co świecą nam każdej pogodnej nocy, tam gdzie wysoko w przestrzeni.

Obserwując je przez lata, zauważył, że poruszają się one po niebie z pewną regularnością, że grupują się w pewne niezmiennie gromady i figury i że ukazują się one periodycznie w tych samych miejscach na niebie i w tych samych porach roku.



W ten sposób zapewne powstała astronomia, nauka wybiegająca poza ziemię, mówiąca nam zadziwiająco rzeczy o ziemi, o jej początku, jej historii i jej przyszłym końcu. Ten pierwszy człowiek, który znalazł dziwne upodobanie w patrzeniu w niebo i obserwowaniu go, nie przeczuwał wtedy, że te odległe świecące punkty, to takie same potężne lub o wiele potężniejsze słońca od tego, któremu oddawał cześć boską. Uwierzył, że te odległe bliździe punkty, są czymś niezmiernie odległym, istniejącym wśród przestrzeni niezmiernie, gdzieś poza obrębem naszego świata, naszej ojczyzny, która jest zawieszona w przestrzeni pod słońcem, naszą ziemską kulą.

I oto gdzieś, kiedyś, może w pradawnym Babilonie, a może wśród piramid Egiptu, a może nawet na ładach legendarnej Atlantyd, ludzkość postawiła sobie po raz pierwszy pytanie: — „Jakie jest stanowisko życia, a z nim i stanowisko człowieka we Wszechświecie”.

Tysiące lat przeminęło, nim udzielono pierwszej na to pytanie odpowiedzi. Dała ją astronomia Ptolomeusza, mówiąc, że zajmujemy stanowisko centralne, w środku wszechświata. Ale już Galileusz, pierwszy człowiek, który spojrzawszy na niebo przez teleskop, zajął zupełnie inne stanowisko. Stwierdził on, że ziemia nasza jest tylko drobnym ciałem, podobnym do wielu innych, okrążającym wielkie centralne słońce, po pewnej ściśle oznaczonej orbicie. Własnymi oczyma ujrzał przez swój własny, przez siebie zbudowany teleskop, miniaturę systemu słonecznego, jak gdyby model, będący dowodem jego rewolucyjnego naoczności twierdzenia, ujrzał go w postaci wielkiego Jowisza, wokół którego krążyły maleńkie planety, jego księżycy.

Astronomia dziewiętnastego wieku posiadała już niezbita dowody, że istnieją

miliardy gwiazd-słońc,

podobnych do naszego słońca, otoczonych prawdopodobnie zespołami planet, na których teoretycznie biorąc, mogłoby istnieć życie. Zastanawiano się nawet poważnie, nad formami, jakie mogłoby przybierać to życie na odległych planetach, dochodząc na tej drodze niejednokrotnie do fantastycznych wniosków i przypuszczeń.

Astronomia dwudziestego wieku jest pod tym względem o wiele ostrożniejsza. Dziś już zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tylko niezmiernie maleńka cząsteczka wszechświata jest odpowiednim podłożem, na którym mogłoby pojawić się życie — obojętne w jakiej postaci i formie. Dziś bowiem nauka wystrzega się twierdzenia, że coś jest absolutną prawdą. Przeważnie daje nam pewne zbliżenie do prawdy, a każde następne zbliżenie może być lepsze od poprzedniego, ale za to o wiele gorsze i mniej dokładne od następnego.

Jednym z takich zagadnień jest historia naszego globu i życia, które się na nim tak bujnie rozrosło. A więc

skąd się wzięła nasza ziemia,

jak powstała, jakie były jej dzieje, nim jeszcze na jej powierzchni zjawili się ludzie.

Istnieje szereg teorii, starających się przedstawić początek ziemi. Nauka nie wypowiedziała się jeszcze ostatecznie na korzyść jednej z nich. Każda zawiera pewne ważne dowody i każda ma swoje słabe punkty. Całkowitej i bez

Odpowiedzi Dziś Literackiego

Bar-Rol proponuje, by różnego rodzaju rocznice cież drukowaniem okolicznościowych wierszy w „Głosie Wielkopolskim” i w związku z tym nadsyła wiersz „Pre-ludium” z okazji... Jesienią. Mimo iż okazja już powoli się kończy (mamy już koniec listopada), wiersza nie wydrukujemy. Za dużo w nim szlachania i wiatru, który „w galeziach szlachy i ros otrząsa łyż”.

A. Walaszkowski, Wolsztyn. Jak Pan zauważył, wprowadziłem na łamach dodatku „Świat” stały dział recenzji książkowych. Może to choć w części spełni życzenia kolegów Liceum i Gimn. w Wolsztynie. — Łączymy pozdrowienia!

względne; prawdy nie będziemy znali prawdopodobnie nigdy.

Jakieś trzy miliardy lat temu zbliżyła się do słońca jakaś potężna gwiazda — słońce. Zbliżając się jej spowodowała na powierzchni naszego słońca gigantyczny przypływ, podobny do przypływu oceanu, jakie obserwujemy na naszym globie, tylko w skali miliardy razy większej. W pewnym momencie krytycznym od słońca oderwała się ogromna struga materii słonecznej, która w formie wydłużonego cygara została rzucona w przestrzeń. W sirudzie tej po pewnym przeciągu czasu poczęły się tworzyć lokalne koncentracje, z których z biegiem czasu utworzyły się planety, krążące wokół słońca, utrzymując swój ruch po orbitach na zasadzie powszechnego prawa grawitacji. Jedną z tych kul była nasza ziemia. A więc początkowo ziemia nasza była

olbrzymią kulą rozżarzonego gazu

jak gdyby miniaturą słońca — rodzieli, której zawiądywała swój samostany żywot. Oczywiście w tym okresie wszelkie życie w jakiegokolwiek formie było całkowicie wykluczone.

Z biegiem czasu kula wolno stygnie, przechodząc w stan ciekły, a potem stała się plastyczna. Aż wreszcie tworzy się skorupa zewnętrzna, a na niej: wzniesienia i płaszczyny. Skrapla się para wodna, tworząc oceany, morza i rzeki, a gazy trwały jak tlen, azot i inne tworzą atmosferę, Ziemia stygnąc, przechodzi w stan sprzyjający pojawieniu się życia, które zjawia się na niej nie wiadomo kiedy, jak, skąd i w jakim celu.

Ocenienie czasu istnienia życia na ziemi jest rzeczą ogromnie trudną. Istnieje szereg sposobów, ale żaden z nich nie daje pewności nawet w przybliżeniu, jakkolwiek wyniki są między sobą stosunkowo dość zgodne. Na pewno można stwierdzić, że życie na ziemi jest tylko maleńką cząstką całkowitego okresu jej istnienia. W każdym razie istniało już ono na ziemi 300 milionów lat temu, ale nie jest wykluczone, że i miliard lat temu. Przypuszczalnie życie powstało w wodzie stopniowo przenosząc się na ląd, przechodząc w ciągu tych milionów lat przez niezliczone przemiany i mutacje. Przesuwało się od form niezmiernie prostych ku coraz to bardziej skomplikowanym, aż wreszcie jakiś milion lat temu, a może tylko 500 000 lat temu, pojawił się na ziemi pierwszy człowiek. Tak więc życie na ziemi istnieje zaledwie w ciągu maleńkiej części jej istnienia, a człowiek zjawiał się na niej niemal w ostatniej chwili. Gdybyśmy życie na ziemi od jego początków przyrównali do życia przeciętnego człowieka, które zamyka się w ramach mniej więcej 60 lat, to całe życie ludzkości zawarłoby się w kilku pierwszych sekundach natychmiast po urodzeniu.

Przed nami — długa wieczność

Ludzkość jest więc jeszcze niezmiernie młoda, oczywiście mierząc skalą astronomiczną. Przez cały czas swego na ziemi pobytu nie zajmowała się niczym pozaziemskim. Dopiero bardzo niedawno człowiek wybiegł myślą w przestrzeń, by na błękitnej kopule niebios poszukiwać prawdy, prawdy tak odległej, a jednak tak blisko związanej z całym jego istnieniem. Nie dziwny się przeto, że wiemy właściwie tak mało. Ludzkość bowiem razem z tys. pokoleń, które już przeminęły, podobną jest niemowlęciu, które po raz pierwszy przejrzało i zdumionymi oczyma spogląda na wielką, nieznaną i tajemniczą rzeczywistość. Mamy przed sobą jeszcze niewymierzalne długie czasy istnienia, w ciągu którego przeminą tysiące i miliony pokoleń, dorzucających po kolei nowy wkład do skarbnicy naszej cywilizacji. Ludzkość stoi dopiero u progu swego życia. Nie dziwny się więc, że czasami poczynają sobie jak niedoświadczone dziecko. Wierzymy, że kiedyś, w niezmiernie odległej przyszłości, zdoła osiągnąć stan prawdziwej doskonałości.

Juliusz Chodacki

PRZEGLĄD KULTURALNY Troche o plastyce

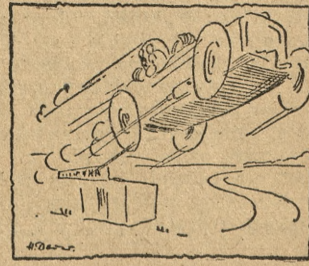
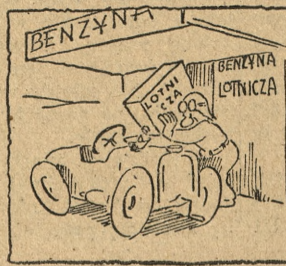
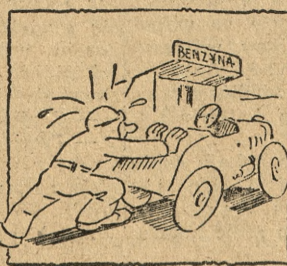
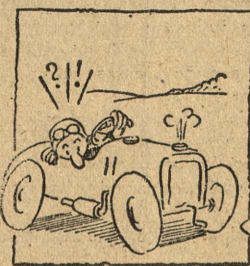
Wobec wybitnie ożywionego ruchu muzycznego w Poznaniu, zwłaszcza w ostatnim okresie częstych wjazdów artystów zagranicznych, wobec aktywności, coraz wyżej podciągających się teatrów, twórczość plastyczna Poznania płynie, jakby zwolnionym tempem. Może to złudzenie, ponieważ działalność około 160 członków Związku Plastyków ma mniej sposobności ujawnienia się. Jednak świeżo ukończona polichromia zabytkowego kościoła św. Jana na Śródcie (prof. St. Teisseyre) i na ukończeniu rekonstrukcji polichromii prezbiterium we farze (St. Wróblewski i K. Lisiecki) stanowią piękne pomniki pracy plastyków. W pracowni konserwatorskiej przy Muzeum Wielkopolskim prof. Kucharski nieustannie renowuje i przywraca do życia wyblakłe i zniszczone obrazy — coraz to nowe oddając do muzeum albo do kościołów. Ostatnio wrócił do św. Jana na Śródcie zabytkowy tryptyk z końca XV wieku, Madonna z Dzieciątkiem i świętymi. Mały „salon sztuki” przy Alei Marcinkowskiego użyczył na razie gościnny obcy wystawcom, rezerwując okres świąteczny dla generalnego przeglądu twórczości miejscowych artystów. Po kilkudniowej wystawie międzyszkolnej przedstawia obecnie twórczość dwóch plastyków wrocławskich: St. Dawskiego i L. Dołyckiego, profesorów Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych. Wystawa nie wzbudziła większego zainteresowania i świeci pustkami, są to bowiem rysunki i szkice mało efektowne. L. Dołyckiego bardzo subtelne pejzaże, St. Dawskiego szkice figuralne — piórkowe — wykonane na większą oszczędnością linii, choć z dużą ekspresją i rozmachem. Mogą być ciekawe dla artystów i pouczające dla studiującej młodzieży.

Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych wykazuje dbałość o przystosowanie praktyczne plastyki do obecnych prądów i warunków życia przez rozdanie swym uczniom ciekawych i aktualnych problemów do rozwiązania: mianowicie zakład malarstwa prof. St. Teisseyre'a dekorację malarską nowej stołówki we fabryce Cegielskiego, a zakład prof. Piaseckiego świetlicy w P. Zakł. Przetworów Mięsnych. Zadanie ma obejmować barwne rozwiązanie całości z ewentualnymi kompozycjami figuralnymi o tematach z życia robotników danej fabryki. Równocześnie zakład architektury i kompozycji wnętrz projektuje rozwiązanie artystyczne wnętrza i umeblovania tychże samych sal. Na wystawie mającej zakończyć rok szkolny projekty i fragmenty prac będą oglądane przez zarządy związków i instytucji, a wybrana ewentualnie praca, stanie się platynym zamówieniem do zespołowego wykonania grupy studentów. Z okazji uroczystego zjednoczenia partii w dniu 8 grudnia, Szkoła postawiła do dyspozycji Komitetowi Koordynacyjnemu 18 grup studentów pod kierunkiem profesorów i asystentów wykładowców dla wykonania okolicznościowych dekoracji świetlic i sal, oraz portretów przodowników pracy. 5 najwybitniejszych ma być sportretowanych w rzeźbie.

W projektach Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki nastawionych obecnie na jak największe rozszerzenie sztuki w świecie pracy — leży dalsze jeszcze i ściślejsze związanie twórczości plastycznej z robudową i dekoracją świetlic. Subsidia przeznaczone bieżąco na ten cel przewyższają znacznie sumy zeszłoroczne.

Imponująca ilość bo około 700 osób kształci Ognisko Kultury Plastycznej, podzielone na kilka kursów; dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Wojew. Wydział Kultury i Sztuki podjął obecnie starania o przydzieleniu tej placówce własnego, odpowiedniego lokalu. Również w Kaliszu otwarto 8. 11. Ognisko Kultury Plastycznej pod dyr. Marcina Oleńnicza. Częściowo subwencjonowane ono jest przez miasto, a dla zrównoważenia swego budżetu zwróciło się za pośrednictwem Wojew. Wydz. K i S, o subwencję do Ministerstwa.

Podczas gdy tak licznie narasta młody narybek artystyczny — wypadają ze szeregow zasłużeni i utalentowani artyści ze starszego pokolenia. Na kartę żałobną wpisał świeżo Związek Polskich Artystów Plastyków imię prof. Jana Wróbleckiego (ur. w r. 1890), który zasłużył się specjalnie Poznaniowi. Pogrzeb jego na koszt Ministerstwa Kultury i Sztuki, a zorganizowany przez kolegów i Wydział K i S był hołdem oddanym jego pamięci i zasługom.

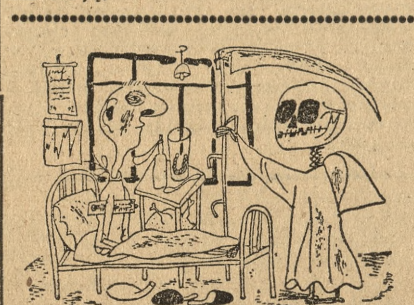


WALENTIN KATAJEW DUSZE DZIECKA

Celem zapoznania czytelników z r. dziecką twórczością satyryczną, drukujemy felieton jednego ze znanych satyryków ZSRR.

— Wasia, gdzie jesteś? Co tam robisz? — Wkładam palto — odpowiedział Wasia sapiąc. — Chodź tutaj! Czy lekcje odbierasz? — Jeszcze nie. — To dokąd idziesz? — Na spacer. — A lekcje? — Lekcje odbiorę wieczorem. — Dobrze. Jak chcesz. Niech będzie wieczorem, ale pamiętaj, jeżeli... — Co? — Zaniepokoił się Wasia — zbliżesz mnie? — Nie, bić cię oczywiście nie będę — chytroze przymrużyła oczy mama — ale weź pod uwagę, że od dzisiaj za każdą piątkę będziesz dostawał pięć rubli. Zrozumiałeś? — Zrozumiałem — rzeczowo odpowiedział Wasia — i za piątkę ze śpiwu także? — Tak jest. — Pięć rubli? — Pięć rubli. — Oczy Wasi pożądlwie zaiskrzyły się. — I za sprawowanie? — I za sprawowanie. Tak samo. Pięć rubli. Wasia zamyślił się, marszcząc czoło, na które spływała bardzo maleńka blond grzywka, a potem zapytał: — Czy co tydzień? — Co co tydzień? — Czy będę dostawał co tydzień, czy jak? — Co tydzień, co tydzień. Wasia jeszcze trochę pomyślał. — A za czwórkę ile będę dostawał? — Należy przypuszczać, że za czwórkę będziesz otrzymywał cztery ruble, a za czwórkę z plusem cztery ruble 50 — nie wytrzymał tata i parsknął śmiechem wyszedł z pokoju. — Dobrze — powiedziała mama. — Ironizuj, ironizuj! Zobaczmy kto z nas ma rację.

— Ale się przestraszyłem! Myślałem, że znów przysła piegielniarkę! („Dikobraz” — Praga)



— Bardzo przepraszam. Nie widzieliście przypadkiem mojej żony? („Ici Paris” — Paryż)



— Bardzo przepraszam. Nie widzieliście przypadkiem mojej żony? („Ici Paris” — Paryż)

Anegdoty

Związa odpowiedź

Natarczywy reporter zapytał Szalapina, jakie partie lubi śpiewać. — W dobrych operach — odpowiedział Szalapin — duże, a w kiepskich male.

Niewinny

Lew Tołstoj był na premierze swojej komedii „Owoce oświaty”. Sztuka miała ogromne powodzenie. Publiczność wywoływała autora. Jeden z aktorów zwrócił się do pisarza:

— Może by pan jednak wyszedł na scenę i ukłonił się? — Cóż znowu! — odpowiedział z uśmiechem Tołstoj — czy zawniłem wobec nich cymkolwiek, ażeby im się kłaniał?

Wielbiciel talentu

Znakomity śpiewak włoski Enrico Tamberlik bawił na występach w Kijowie. Na dworzec odprowadził go tłum wielbicieli. Rozległ się trzeci dzwonek. Mężczyźni podrzucili kapelusze, kobiety zamachały na pożegnanie chusteczkami, ale — pociąg nie ruszył z miejsca. Minęło kilka minut.

— Co się stało? — ktoś zapytał. — Jasne — odpowiedział z uśmiechem Tamberlik — maszynista wie, jakiego wiezie artystę i nie śmie gwizdnąć.

— Czy ja mogę iść, mamusi? — z rzadko spotykaną niekonsekwencją zapytał Wasia. — Dokąd? — A na spacer. — A co z lekcjami? — Lekcje odbiorę wieczorem. — No, jak chcesz. Ale potem będzie ci gorzej. Zapamiętaj to sobie. — Zapamiętam — powiedział lekko-myślny Wasia i dziarsko pobiegł na ulicę, żeby puszczać statki na wodę. Opis srebrzystych strumyków, wróbelków, rozkwitających pączków i wszystkiego innego, autor niestety opuszcza z powodu braku miejsca. Jednym słowem, Wasia puszczał statki, ale myślami był daleko. Marszcząc z nateżeniem czoło, zamyślał się i mruzczał: — Piątka — pięć rubli. Czwórka z plusem — cztery pięćdziesiąt. Czwórka — cztery ruble. Trójka z plusem — trzy pięćdziesiąt. I jego pulchne wargi rzeczowo poruszały się.

I oto w pewien wspaniały dzień (opis pewnego wspaniałego dnia autor opuszcza zarówno z powodu braku miejsca, jak i braku wielkiego talentu obrazowania), rozpromieniony triumfujący Wasia wbiegł do pokoju i uroczyście rzucił na stół dziennik, gęsto poplamiony kleksami.

— Należy mi się 18 rubli 50 — zawołał dysząc ciężko.

— 18,50? — zapytała mama ze zdziwieniem. — Co to za dziwna liczba, z pewnością coś pokreśliłeś. Złóż podsumował. Na pewno 15, albo 20.

— Nie, 18,50. Dobrze obliczyłem. Dawaj pieniądze. Obiecałaś!

— Zaczekaj — mama z lekka pobladła. — Jak to obliczyłeś?

— A tak. Bardzo prosto. Staralem się cały tydzień. Z rosyjskiego palka — to jeden rubel. Z arytmetyki piśmiennej dwójka — dwa ruble. Z arytmetyki ustnej palka — jeden rubel. Ze śpiewu piątka — 5 rubli. Ze sprawowania czwórka — cztery ruble. Z pilności dwójka — dwa ruble. Z rysunków trójka z plusem — trzy pięćdziesiąt. Razem osiemnaście rubli pięćdziesiąt kopiejek. Możesz sprawdzić, zarobiłem uczciwie.

Tata rzucił się na kanapę twarzą w dół i zatrząsł się od śmiechu. Oczy mamy zaokrągliły się, a twarz pobladła. Drżącymi rękoma ujęła chłopca za policzki i zaglądając w jego niebieskie, naiwne oczy nieustraszonego pracownika, wyszeptała z przerażeniem:

— Waska! Syneczku miły! Kochanie! Co też ci się przywidziało! Skarb mój!

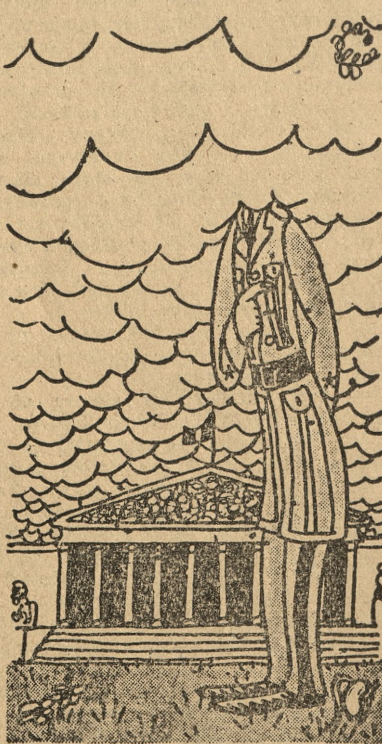
— Jaby temu skarbowi z rozkoszą sprawił lanie! — wyjęczał w poduszkę tata.

— To jest niepedagogiczne — niepewnie wybelkotała mama.

Jednym słowem, choć autor chciał napisać słoneczne, liryczne opowiadanie, w którym by duży, piękny tata zabrał swoją pociechę na wspaniały spacer do parku, to jednak — nie wyszło. Tym razem duży, piękny tata poszedł na spacer sam, a pociecha została w domu i rozmazując łyż po całej twarzy wpisywała do arytmetycznego zeszytu kolumnienki cyfr.

(„KROKODIL”)

Z satyry politycznej



Przyszłość de Gaulle'a

(l'Action)